

Dolar w Warszawie
5.185

CENA PRENUMERATY:			
Miesięcznie	w Łodzi	złotych	1.85
"	" kraju	"	2.50
"	" zagranicą	"	4.00
Odnoszenie do domu 15 groszy miesięcznie „Kurier Wieczorny” łącznie z „Głosem Polskim”, wraz z odniesieniem 4.80 złotych miesięcznie.			

Redakcja i Administracja: Łódź, Piotrkowska nr. 106
Telefon nr. 7-99.

W Sao Paulo zbutowały się odziały wojskowe i opanowały chwilowo koszarę.

Chrzcziny w Krzywo-rzekach.

Mała osada, Krzyworzeki, była by nie przeszła do historii, gdyby nie wypadek, który miał miejsce 29 czerwca r. b. W dniu tym bowiem posel piastowy, Chwaliński, chrzcił swego potomka — i na chrzcziny te zaprosił niebylejakiego kumotra, bo Wincentego Witos — w swojej osobie.

Dzięki tym chrzczynom Polska dowiedziała się o istnieniu posła Chwalińskiego, którego przedtem nikt w sejmie ani poza sejmem nie znał, ani o nim słyszał — a następ nie dowiedzieliśmy się o tem, że Krzyworzeki leżą w odległości 5 klm. od Wielunia i kilkuset od Wierchosławic, wskutek czego wpływy „Piasta” nie stoją tam na wysokości zadania.

Na chrzcziny te przybył Witos — i aby połączyć „pięknie z nadobnem” miał zamiar wystąpić na wiecu publicznym, specjalnie z powodu przyjazdu Witosy urządzonym.

Wjazd Witosy do Krzyworzek niezawodnie wymaga pędzla Matejki. U wjazdu do osady budowała no bramę tryumfalną, na której widniał napis: „Witaj, mężu stanu!” (nie dodali „opłakanego”), a niżej: „Witajcie posłowie!” Ten drugi napis dotyczył posła Byrki, którego Witos „dla ekonomii” (politycznej) wozi ze sobą, aby tłumaczył ludko wi zawile zagadnienia skarbowo-budżetowe, na których w sejmie, oprócz Diamanda z lewa i Wierzbickiego z prawa, zna się, jak wia domo, kilka osób, nie licząc b. ministra Kucharskiego.

Wjazd zatem był tryumfalny i bardziej uroczysty niż wyjazd z Krakowskiego Przedmieścia, gdzie zasiadał gabinet Witosy.

Posłowie (Witos, Chwaliński, Byrka) jechali ze stacji do Krzyworzek — karetą, jak przystoi prawdziwym przedstawicielom na serio zorganizowanego ludu. Karetę otaczała (oprócz ludu) bojówka „Rozwoju” złożona z umiejętnie trenowanych ludzi na rowerach. Poza tem jechała banderka chłopka na koniach własnych i wypożyczonych. A na bryczkach, wolantach, kebach, taradajkach pędzili księża, którzy z okazji powitania dostojnego gościa, zmobilizowali się w liczbie 16-tu, aby parada wyglądała uroczystej. Bo to — dobry Boże! — swój przyjechał „do swego, po swoje” (bo niby trudno już dzisiaj jeździć po cudze...) Bo to „sam” Witos w swojej osobie znalazł trochę czasu (nie od stańczyków tym-razem) i przyjechał aż do Krzyworzek. I to wszystko dzięki posłowi Chwalińskiemu, który jednocześnie chrzcił syna swego, czy córkę.

Lud „piastowy”, odpowiednio zaagitowany zgromadził się w Krzyworzekach, napływając z okolicznych wsi, aby na własne oczy zobaczyć „króla chłopków”, co karierę republikańską robił, idąc do władzy w „dziwieńciomilowych (1 plus 8) butach”.

Początek uroczystości krzyworzeckiej miał miejsce w domu posła Chwalińskiego. Zalewano „robaka”, tego strasznego czerwca, co toczy ludzką od niepamiętnych lat, a serca b. premierów od dnia upadku własnego i spadku, po wiedzmy ceny bydła i dolara, który runął „na głowę” z wysokości „drapaczowego” przesła. Powiada ją, że oprócz „czystej” były tam i „tronki nie-czyste”, nie wyłączając szam-pana, pociąganego z premedytacją znawców. Kto za to wszyst ko płacił — historia milczy. Wiadomo jedynie, że chłopci na „ten cel” pieniądze między sobą nie zbierali.

Po libacji zwyczajem prastarym

ruszono do kościoła, aby zapalić świeczkę, niezbędną po spaleniu „djabelskiego ogarka”. „Słowo Boże” z ambony kościelnej wylewał jakiś złoto-usty na temat „pogani na Szawla”, który ongiś wyrzekł się był Chrystusa, ale się potem nawrócił na „drogę prawdy” i poszedł na prawo... Kazanie było aż nadto przejrzyste — i dla nikogo nie pozostało tajemnicą, że jest ono przystosowane do osoby Witosy, który swego czasu, boczyl się na Chjenę — aż potem, gdy „duch narodowy” weń wstąpił — wówczas wszedł na drogę bogoojczyznianej cnoty.

Po ceremoniach kościelnych wysypał się lud na rynek krzyworzecki, gdzie już stała przygotowana zawczasu trybuna, wokół której zgromadziło się to małe, ale dobrane towarzystwo z księżmi i bojówką „Rozwoju” na czele.

Pierwszy zabrał głos poseł Chwaliński, który w sejmie napelnia skarby państwa) złotem milczenia, niekiedy lepszym od gadulstwa. A po nim chciał mówić p. Byrka, ale „naród” nie chciał słuchać jego teoretycznych wywodów i zaczął wołać chórem:

— Chcemy Witosy!

Cóż było robić... Vox populi, vox Dei — i Witos stanął na trybunie. Ledwo jednak rozpoczął od słów: „nie będę mówił, com zrobił — ani czego nie zrobił” — jak z tłumu padły okrzyki:

— Nic nie zrobili!

Powstał gwałt. Krzyki. Tysiąc głosów zaczęło wyc na znak protestu. Słychać było tylko niektóre zdania Witosy. A gdy tłum się cokolwiek uciszył — Witos „ze ła” w głosie (w oku nie ma) powiedział: — Są w życiu naszym: wielka niedziela i wielki piątek...

Chłopcy otworzyli gęby słysząc o rzeczach sobie znanych. A Witos ciągnął dalej:

— Gdym tu wjeżdżał do tej bramy tryumfalnej — myślałem, że to wielka niedziela — ale, gdy słyszę to wasze: „ukrzyżuj, ukrzyżuj!” — myślę, że to jest wielki piątek.

Argumenty takie, wytoczone z całą znajomością duszy chłopskiej i chłopskiego języka („do przemawiania”) nie pomogły, bo znów krzyczano b. premierowi:

— Zrujnowałeś państwo!

— Nie zajmuj się „pon politykom”...

— Zdrajcaś chłopski!

Wrzawy nie można było uciszyć. Kiedy na trybunę wszedł obecny na wiecu poseł Fiderkiewicz — wtedy księża zaczęli gwizdać ni czym politycznie tresowane szpaki, a bojówka rozwojowa przypuszczała regularne ataki do mównicy i mówiącego. A Witos stał i notował sobie, co o nim mówiono.

I nieprzyjemnie mu było słyszeć aforyzmy, rzucane przez przeciwnika, że:

— „za rządów Witosy — była Polska głodna i bosa”. Dalszy ciąg wiecu obfitował w ciekawe rozmowy (djalogi) Witosy z tłumem. Djalogi te, jako niezmiernie charakterystyczne dla b. męża stanu, specjalnie wynotowałem ze słów posła Fiderkiewicza.

Oto najciekawsze z nich:

Tłum: Precz z Witosem!

Witos: Wy powiadacie: precz! — a ja wam powiadam, że teraz jest gorzej, niżeli było za mnie... Wy tego nie wytrzymacie... Wszyst ko to pęknie...

Tłum: A coście zrobili z polskim pieniądzem?

Witos: Nie ja temu winien. Nawet takiemu mądrymu człowieko-

wi, jak Chrystus, przesłizgnął się pod pachą Judasz, a że mnie wla- zła parszywa owca — to za to niech odpowiada Kucharski... a nie ja...

Tłum: A wiele masz złota?

Na to pytanie — Witos zakłopotany wyjmując z kamizelki monetę niklową i odpowiada:

— Oto moneta... A czy jest złota... — to ja tego nie wiem.

Tłum: Wiele masz majątku?

Witos: Miałem 25 morgów ziemi, ale że siedzę w sejmie więc przez ten czas sąsiedzi mi ziemi przyorali, więc teraz nie wiem ile mam.

Tłum: A gdzie reforma rolna?

Witos: Ja teraz nic nie powiem.

Ja będę siedział cicho i patrzył, jak to inni robią reformę. Projekt reformy rolnej zgłoszonej przez „Wyzwolenie” jest fikcją, ale ja będę za nim głosował. Ale kto za dużo zje rzeczy przesolonych — to potem tak dużo wody będzie pił — aż pęknie...

Oto wiązanka wskazań polityczno-społecznych p. Witosy na wsi i dla wsi. Jest w nich lwi pazur urodzonego demagoga chłopskiego, którego tragedia jest to m. in. że demagogia przestaje już popłacać.

I gdyby nie „czas”, gdyby nie „doświadczenie” nabyte przez obywateli polskich otrzymane dzięki rządowi Witosy — mowa pana wójta znowu trafiałaby do serca chłop skiego i w Krzyworzekach. Bo Witos umie z chłopem „gadać”. Zna jego duszę i potrafi zmusić do uwierzenia w to, co mówi „po chłopsku” — nawet wtedy, gdy rzuca oszczerstwa. Na tym wiecu w Krzyworzekach powiedział np. że poseł Ballin (Wyzwolenie) głosował przeciw uznaniu granic Polski — mimo że takiego „głosowania” wcale w sejmie nie było.

„Chrzcziny” w Krzyworzekach są pouczające. Ochrzczono tam nie tylko niemowlę posła Chwalińskiego — bo chrzest otrzymał także i wielomówny Witos, który, jak się okazuje, nie wszędzie, na szczęście ma jednakowe powołanie, co dowodzi, że wieś nie jest jednolicie głupia i że się kmiecie orientują, zarówno w chłopskiej jako i państwowej polskiej polityce.

Po chrzczinach w Krzyworzekach Witos chciał przemawiać tegoż dnia w Wieluniu. Ale tam dostał taki chrzest, że czempredziej musiał opuścić niegościnnie miasto.

Więcej takich „chrzczin w Krzyworzekach” (może Bóg da, że znów coś w Piaście „prodi”) — a zrozumie p. Witos — skąd wyszedł i kąd wiedzie droga do ludu i z powrotem.

Tadeusz Wieniawa-Długoszowski.

Lenin był warjatem.

Szwedzki malarz Engström, który niedawno wrócił z podróży po Rosji sowieckiej opowiada następującą zabawną a charakterystyczną anegdotę:

„Jest pobór do wojska czerwonego. Przed lekarzem staje rząd rekrutów.

— Jesteście chorzy — pyta doktor pierwszego.

— Tak — mam chore serce.

— To nie nie szkodzi. Rykow ma też chore serce, a pracuje dla komunistycznej Rosji. Przyjęty do wojska. Następny!

— Mam raka w żołądku.

— To nie nie szkodzi. Trockij ma raka w żołądku i pracuje. Do szeregu. Następny!

— Ja jestem warjat!

— Głupstwo! — mówi doktor — Lenin był warjat i pracował. — Marsz do koszar!”

Niestłuchany skandal policyjny w Wileńszczyźnie.

WYJAŚNIENIE DELEGATA RZĄDU W WILNIE.

Niedawno delegat rządu na ziemię wileńską, p. N. Roman przyjął przedstawicieli pism wileńskich, którym dał wyjaśnienia co do niepokojących naszą opinię pogłosek o wykryciu organizacji dywersyjno-bolszewickiej w szeregach policji państwowej.

Jak się okazuje w jednej z kompanji policji pogranicznej, znalazł się aspirant policji Kotarbiński, był oficer rosyjski, który z dniem 1 lipca miał być zwolniony ze służby. Aspirant Kotarbiński przygotował w swej kompanji znowę, celem przejścia za granicę bolszewicką i wstąpienia tam do organizacji bandyckich. Głównym pomocnikiem Kotarbińskiego był niejaki Kania.

Organizacja ta została przyłapana, dzięki pracy inspektora Munka. Zapytano p. delegata czy mu zna na jest opinia p. Leona Wasilewskiego, b. ministra spraw zagranicznych, który twierdzi, że bolszewicy narzekają także na napady bandyckie na swoim terytorjum i że kto wie czy plagę bandytyzmu nie dołaby się zmniejszyć przez układ w celu wzmożenia kontroli granicznej.

Delegat Roman odpowiada, że wiadomo całkiem pozytywnie, że bolszewicy wspierają pieniądze i czynnie organizację polityczną, mającą na celu organizowanie napadów na nasze terytorjum. Organizację tę prowadzi się specjalnie intensywnie. Wielu ludzi zostaje wciąganych z naszego terytorjum do takich konspiracji bandyckich. Jeżeli kto urządzi napady na terytorjum sowieckie, to chyba prywatyzujący bandyci, wychowani przez te organizacje dywersyjne.

Co do szaulisów, to p. delegat ma wiadomości raczej uspokajające. Wiele kompanji szaulisów zostało w ostatnich dwóch tygodniach rozbrojonych i zwróconych do budowania kolei. Nie można jednak powiedzieć, aby na litewskiej naszej granicy panował spokój.

DALSZE SZCZEGÓŁY.

O aresztowaniu grupy posterunkowych policji pow. wilejskiego, która pozostawała w zmowie z bolszewikami i przygotowywała się do urządzania napadów rabunkowych na naszym lub bolszewickim terenie otrzymujemy następujące szczegóły.

Władze nasze od chwili rozpoczęcia się akcji napadowej w pow. wilejskim zwróciły baczną uwagę na okoliczności tych napadów i

stwierdziły, że bolszewickie bandy rabunkowe mają pomoc z wewnątrz.

Kto udzielał pomocy bandom, ułatwiał im ucieczkę i wogóle utrudniał walkę z nimi — pozostawało zagadką. Podejrzenie padło na miejscową ludność zaagitowaną przez agentów białoruskich. Podejrzenie było słuszne, ale niekompletne. Bliższa obserwacja wykazała, że niektórzy funkcjonariusze policji tamtejszej nie stoją na wysokości zadania. Przypadek zdarzył, że wpadnięto na ślad organizacji wewnętrznej wśród policji, która sprzyjała napadom, a może nawet współdziałała z bandami bolszewickimi.

Aby dostać w ręce całą szajkę, postąpiono w sposób bardzo zręczny i pomysłowy. Skoro dowiedziano się, że pomiędzy innymi na czele szajki stoi aspirant policji, zastępca komendanta kompanji granicznej Kotarbiński, polecono mu zorganizować grupę pościgową za bandytami, która z natury rzeczy będzie miała znaczną swobodę ruchów. Działano w przypuszczeniu, iż aspirant Kotarbiński do grupy tej zwerbując swoich ludzi zkonspirowanych. Przypuszczenie było słuszne. Kotarbiński chętnie podjął się nowej roli i zorganizował grupę z zaufanych jednostek. Gdy już akcja organizacyjna „grupy pościgowej” była skończona, dano polecenie ściągnięcia jej szubow do Wilejki.

Kotarbiński i zaufanci ściągnięli do Wilejki swoich ludzi z bronią. Tędy tylko oczekiwali naszej władze. Gdy podstępne elementy posterunkowych przybyły do Wilejki wojsko i policja z karabinami maszynowymi otoczyły „grupę pościgową” i błyskawicznie rozbroili ją. Zdemaskowani policjanci byli tak oszołomieni i zaskoczeni nieoczekiwanym obrotem sprawy, że nie stawiali oporu. Przewodców z Kotarbińskim okuto w kajdany i odstawiono do więzienia w Wilnie, resztę osadzono w Wilejce. Ogółem aresztowano około 30 posterunkowych.

Trzeba tu dodać, iż przewodca Kotarbiński z dniem 1 lipca miał być zwolniony wogóle ze służby, jako element szkodliwy. Wiedząc o tem, postanowił objąć „nowe stanowisko” i dał się namówić przez wysłańców bolszewickich do zorganizowania bandy.

Wśród aresztowanych przeważa element przysyłany na kresy nasze z innych okręgów policyjnych, gdzie za najrozmaitsze przestępstwa służbowe mieli wytoczoną dyscyplinarkę.

P. Moskalewski wspólnikiem firmy Plage i Laśkiewicz.

Kurjer Ilustrowany” pisze: Mówi się ogólnie i głośno o tem, że w interesach firmy „Plage-Laśkiewicz” zainteresowane są „wysokie osobistości wojskowe”, które mają wielkie pakiety akcji tej spółki po cenie emisyjnej, że jednym z poważnych akcjonariuszy „Plage-Laśkiewicz” jest p. Moskalewski, były wojewoda lubelski, a obecny najwyższy komisarz oszczędnościowy Rzeczypospolitej.

Czy wszyscy ci wysocy dygnitarze nie uważaliby za wskazane — wkroczyć energicznie i zażądać na tychmiastowe śledztwa? Wszak że w tej aferze zaangażowane jest nie tylko dobro skarbu państwa, interes wojskowości i żywoty naszych lotników, ale także tych dygnitarzy część osobista, jeżeli oni są akcjonariuszami, czyli współwłaścicielami fabryki. Wszakże to nie carskie czasy, kiedy należenie do jakiegoś przedsiębiorstwa wy-

sokich dygnitarzy w charakterze wspólników, gwarantowało temu przedsiębiorstwu bezkarność i możliwość uprawniania wszelkich nadużyć — lecz przeciwnie czasy demokratycznej, wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej polskiej, w której ustroju należenie dygnitarzy państwowych do prywatnego przedsiębiorstwa powinno być gwarancją, że przedsiębiorstwo to w niczem interesom państwa nie uchybi i społeczeństwu szkody nie przyniesie...

Oczekujemy, że p. Moskalewski i „wysokie osobistości wojskowe” wystąpią jawnie z żądaniem przyspieszenia śledztwa w aferze „Plage-Laśkiewicz”.

Jeśli idzie o osobistości wojskowe, można być pewnym, że sprawa ta nie zostanie zatuszowana. Nie nadarmo na czele ministerstwa spraw wojskowych stoi dzielny i prawy generał Sikorski.

Pani Asquith i córka Lloyd George'a literatkami.

Zona b. prezesa ministrów Asquitha wstąpiła w szeregi literatek. Na jesieni ukażą się w druku jej opisy i wrażenia z podróży po Hiszpanji i Francji. Książka pani Asquith będzie nosić prawdopodobnie tytuł „People and many Lands”.

Na tą samą drogę wstąpiła córka Lloyd George'a, miss Megan.

Miss Megan podpisała umowę z pewnym wydawcą londyńskim na druk pamiętnika z podróży po Indiach.

Panna L. George bawiła przez pół roku w Indiach jako gość wicekróla lorda Readinga i wraz z miss Reading podróżowała po dzunglach indyjskich.

CO DZIEŃ NIESIE?

LIPIEC

10

Czwartek

Dziś: Amalji, 7 Br. M.
Jutro: Piusa P. M.Wschód s. o g. 5.28
Zachód s. o g. 7.55
Wschód ks. 12.36 pp.
Zachód ks. 11.52 w.
Dług. dnia 16 g. 28 m.
Ubyło dnia 0 g. 16 m.**Biblioteka Publiczna**, ul. Andrzeja 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 8 — 9 wiecz.**Miejska galeria sztuki**, park im. Sienkiewicza (wystawa malarstwa, rzeźby, grafiki i zdobnictwa polskiego), otwarta od 10 r. do 8 w.**Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji”**, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6—8 wiecz.

Dzisiejsze widowiska.

Teatr Miejski
w parku Staszica:
„Peg moje serce”.**Teatr letni „Scala”** w ogródku Variete. Program nr. 3.**„Casino”**:
„Apaszka z Paryża”.**„Luna”**:
„Młody Maharadża”.**„Odeon”**:
„Romans księżniczki de Valois”.**„Grand - Kino”**:
„Zakazane miasto”.**Kino współdz. pracown. państwowych**:
„Dziecię Karnawału”.

Kryminalistyka i wypadki.

POSTRZELONY PRZES NIEOSTROŻNOŚĆ.

(8) W dniu dzisiejszym około g. 11-ej przed południem został przy ulicy Konstantynowskiej nr. 62 (baraki dezynfekcyjne wojskowe) postrzelony kulą karabinową szeregowiec Stanisław Makowski, l. 22. Strzał oddał inny żołnierz, który majstrował przy karabinie, mając w nim ostry nabój.

Pierwszej pomocy udzielił nieszczęśliwemu lekarz wojskowy, zaś zawezwane pogotowie ratunkowe, przewiozło nieszczęśliwą ofiarę do szpitala wojskowego przy ulicy Przedzalanianej nr. 75 w stanie ciężkim.

Winnym żołnierzem zajęły się władze wojskowe.

TEPEM NARZĘDZIEM.

(8) W dniu wczorajszym przy ulicy Wawelskiej nr. 25 w podwórzu został uderzony podczas bójkii tepe narzędziem 22-letni słusarz Bolesław Radwański, zamieszkały przy ulicy Wawelskiej nr. 6.

Pierwszej pomocy nieszczęśliwemu udzielił lekarz pogotowia ratunkowego, konstatując rany tłuczone lewego boku.

Po udzieleniu pomocy pobitego przewieziono do szpitala przy ul. Drewnowskiej w stanie poważnym, zaś winnym zajęła się policja.

Z GŁODU.

(8) W dniu wczorajszym zaślaba nagle w bramie domu przy ulicy Cegielnianej nr. 43 niejaka Maria Sztajnhauer, lat 41. bezdomna i bez zająca.

Pierwszej pomocy udzielił ofiarze głodu lekarz pogotowia ratunkowego, przewożąc ją do szpitala przy ulicy Drewnowskiej w stanie bardzo osłabionym.

— Przy rynku Leonarda 1 upadła na ulicy z głodu i wycieńczenia 30-letnia Florentyna Drabska, zamieszkała przy Szosie Pabjanickiej.

Po udzieleniu pierwszej pomocy lekarz pogotowia ratunkowego przewiózł zgłodniałą i chorowitą do szpitala miejskiego w stanie b. osłabionym.

Dowiadujemy się, że nieszczęśliwą wypędził z domu mąż pijak i awanturnik.

Jak żyją pensjonarze w „Kochanówce”?

Rzeczowe wyjaśnienie dyrektora d-ra Siwińskiego.

Otrzymał od dyrektora szpitala dla umysłowo chorych poniższe uwagi o gospodarce w powyższym szpitalu. Nie jest to oczywiście odpowiedź na skargi wariatów które z należnym zastrzeżeniem podaliśmy w „Kurjerze Wieczornym”, ponieważ odpieranie zarzutów, postawionych przez ludzi, pozbawionych władz umysłowych, byłoby śmieszne. Natomiast uwagi d-ra Siwińskiego są cennym przy czynkiem do życia w powierzonym mu szpitalu i z tego względu z całą gotowością dajemy im miejsce na łamach naszego pisma, sądząc, że zainteresują one szeroki ogół czytelników, z których wielu ma nie szczęście posiadać krewnych, czy znajomych w tym szpitalu.

Redakcja.

I.

Pożywienie chorych w szpitalu „Kochanówka” w porównaniu z tem, jakie było w ciągu ostatniego dziesięć lat uległo znacznemu polepszeniu. — Normy p.g. zatwierdzone przez zjazd psychiatrów. Oprócz kapusty i kartofli chorzy otrzymują następujące potrawy: zupy szczawiowe, botwinki, rosół, barszcz, kartoflanki, zupy mięsne; mięso smażone, śledzie, jajka, wędliny; jagły, orkisz, groch, fasolę, ryż, pęczak, kaszę tatarską, marchew, buraczki; mleko, kawę słodzoną, herbatę, masło, ser marmoladę, chleb i białe pieczywo; w lecie owoce: jak maliny, jabłka, gruszki. — Zupy są tak smaczne, że był załag z personelem, iż personel otrzymuje je mniej smaczne od zup chorych. Prowadzone są ściśle rehelny przez ordynatorów, kontrolowane przez dyrektora; obiad zawsze probowany jest przez lekarza dyżurnego. Dla ciężko chorych są specjalne diety, konający zaś pokarmów nie przyjmują — bezpośrednio przed zgonem.

II.

Co do dbania o stan zdrowia — opieka nad zdrowiem chorych zorganizowana jest w ten sposób, że każdy oddział ma swego ordynatora — ordynator odbywa obchód ranny, popołudniowy i nocny, poza tem lekarz dyżurny jest na każde zawołanie przez 24 godziny.

Ordynatorzy pracują bardzo sumiennie i z poświęceniem, interesują się stanem chorych, dając im jaknajtroskliwszą opiekę. Nad stanem zdrowia chorych odbywają się konferencje kliniczne, poza tem codziennie konsultacje nad poszczególnymi chorymi. Niezależnie od ordynatorów, dyrektor szpitala, pisząc te słowa, robi obchody kontrolujące po pawilonach, chętnie wysłuchując ewentualnych zażeń chorych. Na każdym pawilonie stale przebywają siostry pielęgniarki, niezwykle w „Kochanówce” zasłużone, pracujące od lat kilkunastu, niosące ofiarom swą pomoc podczas bombardowania Łodzi, a następnie w latach wojennych i powojennych.

Nasze bowiem siostry pielęgniarki odznaczają się poświęceniem dla chorych rzadko spotykanem, to też wnikanie, czy chorzy zjadają swoje porcje, czy nie zjadają, jest ich troską codzienną przez lata całe.

III.

Spital nasz tylko za pewną, stosunkowo niewielką grupę chorych otrzymuje zł. 4 dziennie, reszta zaś chorych stanowi różne kategorie, aż do zł. 2.20 gr. dziennie. Znaną jest rzeczą, że przy prowadzeniu dużego szpitala, stawka dzienna

musi iść nie tylko na utrzymanie chorych, lecz i na inne wydatki, związane z prowadzeniem instytucji.

IV.

Co się tyczy obchodzenia z chorymi, należałoby właściwie dać obszernie wyjaśnienie, gdyż to tyczy pielęgniarstwa psychiatrycznego. Posiadamy kilkudziesięciu pielęgniarzy i pielęgniarek, którzy służbę swą pełnią przez kilkanaście lat, obchodzą się z chorymi po ludzku i stoją na wysokości zadania.

V.

Chory, który napisał list do Sz. Redakcji, cierpi na psychozę manjakałno-depresyjną nie jest w stanie myśleć rzeczowo, zdradza gonitwę myślową, stąd wnioskowanie jego jest powierzchowne, nie odpowiada rzeczywistości, stąd też pochodzi jego sąd, że jedynym lekarstwem, stosowanym w „Kochanówce” jest przywiązywanie pasem do łóżka, w rzeczywistości są to owijania w koce wilgotne, czy też suche chorych, będących w stanie silnego podniecenia manjakałnego, względnie zamrączenia świadomości, co stanowi przyjętą metodę leczenia chorych psychicznie. W kocu chory szybko się uspakaja, zasypia.

VI.

Co się tyczy sińców, każdy sińiec, z którym chory przybywa, jest opisany przez ordynatora w historii choroby — każdy sińiec świeżo nabyty w szpitalu musi być zameldowany ordynatorowi, który rozpatruje jego przyczynę. Sińce w szpitalach psychiatrycznych powstawać mogą z przyczyn następujących:

1) chory w stanie szalonego podniecenia rzuca kończynami we wszystkie strony, więc sam sobie może powodować sińce, dla uniknięcia czego bywa właśnie owijany w koc;

2) chory może uderzyć chorego, co się może stać w najlepiej zorganizowanym szpitalu psychiatrycznym. Gdyby zaś chory otrzymał sińiec od pielęgniarza, będącego na próbie, natychmiast pielęgniarz zostałby usunięty, jako nieodpowiedni do pielęgnowania chorego.

VII.

Wzmianka, że lekarze w „Kochanówce” przebiegają błyskawicznie sale, nie oglądając i nie badając nikogo „przechodzą przez całe, by tylko pokazać, że byli i spełnili swój obowiązek” właściwie nie wymaga odpowiedzi, dowodzi ona bowiem, iż pisał ją chory psychicznie z rozpoznaniem psychozy manjakałno - depresyjnej, której właściwa jest niestępna złośliwość. O pracy i poświęceniu lekarzy mówiłem wyżej.

W zakończeniu dodaje, iż dla nas psychiatrów, jak również dla prawników znane są skargi i listy chorych psychicznie do różnych instytucji, jak redakcji czasopism, sądów, prezydentów państw. Najczęściej tego rodzaju listy u nieświadomych i nieznających stosunków szpitali psychiatrycznych wzbudzają uczucie słuszności, dla tego też postanowiliśmy w artykule niniejszym wyjaśnić społeczeństwu wartość realną myśli, podanych przez chorego w liście, który wyszedł z druku dnia 8 b. m. w nr. 154 „Kurjera Wieczornego”.

Dr. Siwiński.

Teoria i praktyka sekwestru fabryk.

Na marginesie niepokojącej rezolucji.

Raz jeszcze powrócić musimy, tym razem merytorycznie, do rezolucji, przyjętej na zebraniu bezrobotnych w o. k. z. z. Rezolucja ta zawierała, między innymi, żądanie sekwestru zamkniętych fabryk. Podkreślaliśmy już wczoraj, że żądanie to jest nierealne. Dzisiaj znajdujemy pośrednie potwierdzenie naszych słów.

Oto na Górnym Śląsku trwa również groźny kryzys przemysłowy. W dniu wczorajszym wojewoda śląski wezwał do siebie przedstawicieli związków zawodowych i złożył im w imieniu rządu obszernie oświadczenie, w którym m. in. powiedział:

„Obietnice zakładów przemysłowych w administrację przymusową państwa, rząd uważa w dobie obecnej za niewskazane z powodów następujących:

a) Zarząd państwowy wymagałby ze strony skarbu nakładów nie-nieznanych, którymi skarb i budżet państwa nie dysponują;

b) Zwolniliby prawnych właścicieli tych przedsiębiorstw od naturalnego ich obowiązku dolożenia wszelkich starań w celu zdobycia na okres gorszej koniunktury środków pieniężnych, niezbędnych dla prowadzenia ich przedsiębiorstw”.

Budżet państwa, który zastępuje w okresie sanacji całokształt gospodarki państwowej i usuwa na drugi plan wszystkie inne zagadnienia, nie pozwala na pokaźne inwestycje w tej dziedzinie. Dyskusja więc, w tym przedmiocie przy wszechwładnych nastrojach skarbowa-sanacyjnych, jest przelewaniem z pustego w próżne.

Pozatem całkiem słusznie podkreślono moment, o którym mowa w punkcie b). Kto na dzisiejsze stosunki gospodarcze, ten doskonale zdaje sobie sprawę z doniosłej roli prywatnej inicjatywy w przedsiębiorstwie przemysłowym i z tego, że biurokracizm urzędnika państwowego, nie zainteresowanego w rozwoju przedsiębiorstwa, tej inicjatywy w żaden sposób zastą-

pić nie może. Walka o rynki zbytu, których brak jest głównym źródłem kryzysu, wymaga skomplikowanego aparatu prywatnego i niezwyklej znajomości zbytu, a państwo ani tego aparatu, ani odpowiednich ludzi nie posiada. Państwo może ingerować tylko w jednym kierunku, co podkreślił wojewoda w dalszym ciągu swej deklaracji, mówiąc:

„Uważając zmianę warunków pracy w Niemczech za jedną z głównych przyczyn tak znacznego pogorszenia się położenia gospodarczego na polskim Górnym Śląsku, oraz ciężkiego zagrożenia warunków pracy wszystkich robotników w Rzeczypospolitej polskiej, rząd podjął na terenie międzynarodowym, a w szczególności w międzynarodowej organizacji pracy przy lidze narodów energiczną akcję, w celu przeciwdziałania tej wstecznej fali w Niemczech, która naraża na szwank zdobycze społeczne polskiej warstwy robotniczej, godzi w siły konkurencyjne przemysłu polskiego i podkopuje podstawy polskiego ustawodawstwa socjalnego. Rząd wzywa organizacje robotnicze, by ze swej strony poczyniły wszystko, co leży w ich mocy dla poparcia wyżej wymienionej akcji na terenie międzynarodowym”.

Ta walka na terenie międzynarodowym może mieć i dla Łodzi doniosłe znaczenie. Poza tem rząd może przy udzieleniu kredytów i ulg faworyzować tych przemysłowców, którzy swe przedsiębiorstwa udoskonalają technicznie, obniżając koszty produkcji i przystosowując się w ten sposób do konkurencji na rynkach zagranicznych. Ale o przymusowej administracji nie może być mowy. Robotnicy nie powinni się łudzić, że sekwestr dałby im pracę. Rzucone w rezolucji hasło jest objawem demagogii, jest złudnym mirażem, który na bliższą metę prysnąć musi, pozostawiając gorzkie rozczarowanie.

Obserwer.

Krakowska Operetka teatru „Nowości”,
Dyrekcja: Tad. Pilarskiw „SCALI”
Tylko 4 gościnne występy56 osób soliści, balet, chór 56 osób
damski i męski
nowe kostjomy.

W sobotę, 12 lipca, w niedzielę, 13 lipca

KATJA TANCERKA

Prześlizna operetka w 3 aktach, Gilberta.
Balet w II akcie „Jawa”

W poniedziałek 14 lipca, we wtorek 15 lipca

Madame Pompadour

Arcymelodyjna operetka w 3 aktach, L. Falla.
BALET w I akcie „Humoreska” odtäncają K. Lutówna
i I. Pawłowski, baletmistrz.Udział biorą: pp. Czernekówna, H. Grimali-Zbierzchowska, I. Kąsowicz-Kaczarowska, Z. Zubrzycka, St. Nawrocka, M. Tarnawiecka i in., pp. Dyr. Tad. Pilarski (sen.) I. Wiśniewski, Tad. Pilarski (jun.) A. Kaczarowski, P. Dudziński, W. Jankowski, Bol. Bizoń, Brzeziński i inni
oraz chór i balet z 26 osób.

Specjalne nowe dekoracje i wystawa.

Kapelmistrz: Stanisław Miszczak.
Początek o g. 8.30 wiecz. Bilety już można otrzymać w kasie teatru „Scala” od 11—2 i od 5—10 w. w teatrze Letnim.

Skrzynka do listów.

Szanowny Panie Redaktorze!
We wczorajszym numerze „Rozwoju” (nr. 186) ukazał się artykuł pod tyt. „Jak leczy kasa chorych”.

Otóż w związku z tą sprawą podaje do wiadomości publicznej, że „poszkodowana” p. Zofia Garfinkiel zwróciła się do mnie, w celu leczenia wspomnianego zęba i że wszystkie jej rewelacje ogłoszone we wspomnianym numerze „Rozwoju” są absolutnie kłamliwe i o-

bliczone na skompromitowanie i materialny wyzysk koleżanki Rozenberg.

Sądząc, że zarząd kasy chorych wszczął w tej sprawie dochodzenie, jestem gotów udzielić wszelkich informacji wyjaśniających.

Racz przyjąć Szanowny Panie Redaktorze wyrazy szacunku.

Lek. dentysta Tadeusz Babad.

Łódź, dnia 10 lipca 1924.

Czytajcie „Głos Polski”.

Jak Mussolini „zwalczył” żebractwo?

Mussolini to geniusz! Na wszystkich ma sposób!

Po objęciu rządów wydał dekret zakazujący żebrakom nadstawiać rękę na ulicy. Żebractwo jest dla każdego społeczeństwa wstydem. Bo w dobrze zorganizowanych społeczeństwach każdy człowiek niezdolny do pracy, kaleka, obłąkany, chory, czy starzec, powinien znajdować opiekę w przytułkach, szpitalach, domach dla starców, gdzie mogliby dokonać żywota bez konieczności błagania o jałmużnę. Mussolini jednym zamachem zniósł plagę żebractwa we Włoszech. Już ósma lazzaronów nie oblega obcych, nie kompromituje „bogactw krewnych”.

Może równocześnie z tym ukazem Mussolini stworzył zakłady dla starców, warsztaty pracy, domy poprawy dla zdemobilizowanych pauprów, ochronki dla bezdomnych dzieci? Nic podobnego. Zakażał tylko żebractwo po ulicach, zresztą zostawił żebraków własnemu ich przemyślowi. Cóż tedy robią lazzaroni włoscy? Posłuchajmy co o tem pisze po zaobserwowaniu stosunków weneckich korespondent jednego z pism niemieckich:

— „Do you speak english?” — szepcze coś za mną. — „Parlez vous francais?” — Sprechen Sie deutsch? Czy chcesz najszanowniejszy nauczyć się w ciągu 12 minut po włosku, tak żebyś mógł się wszędzie porozumieć?

Odwracasz się od natręta i mruczysz decydująco: „Niente, niente, niente!”

Nie pomaga. Nie zwolni cię, dopóki się nie poinformujesz o cenie. Dziesięć lirów kosztuje ten żart. Więc dobrze, zgadzasz się nakłonić, siadasz ze swym „nauczycielem” przy stoliku kawiarnianym, zamawiasz dwie czarne i podajesz się:

— Si — znaczy tak, no — nie. To łatwe. Prawda?

— Tak.

— Proszę, odpowiedz mi pan po włosku.

— Si.

— Dobrze. Prego — znaczy proszę, grazie znaczy dziękuję.

Po kwadransie przywieszysz sobie rzeczywiście kilka wyrazów — quanto costa? E caro! Ile kosztuje? Za drogo! Nero — znaczy czarny, piccolo — mały. I tym podobne potoczne wyrazy. Po chwili wstaje. Nauka skończona. Prosi o honorarium.

— Prego, signor.

Czterysta lat czekolady.

W tym roku mija czterysta lat od chwili, w której Europa zapoznała się z czekoladą. Przymak ten przyniósł hiszpanie z Meksyku. W Paryżu długo pogardzano czekoladą. Dopiero Anna austr-

— A najważniejsze cyfry? — Niente, niente. Po co panu cyfry. Może pan cyfry notować albo pokazywać na palcach. Nie obciążać niepotrzebnie mózgu. Prego, piętnaście lirów.

— Dziesięć. Przyjmuje banknot, zapomina „grazie” i idzie dalej, szukać następnej ofiary.

Przeglądasz się na placu świętego Marka gołabkom.

— Czy chce pan swoją sylwetkę? (podobizna wycięta z papieru). Proszę na chwilę spokojnie. Tak, głowa do wieży, tak, secundo, secundo, dziękuję, excellentissimo! Czy mogę prosić? Cztery głowy, jedna lepsza od drugiej, dwanaście lirów.

Bierzesz w rękę wycinanki. Wiesz wieżę ratuszową, łańcuch górski, garnitur do pisania. „Portrelista” wycinacz domaga się równania. Co robić? Dajesz mu pieniądze.

I tak dalej. Na każdym kroku. Ktoś gestem i miną przekonywa cię, że popadł niewinnie w nędzę. Ma prawdziwy autograf Napoleona. Śmieszna cena. 23 lirów.

— Równo 23?

— Ani o lira mniej. Przysięga na wszystkie świętości — w końcu go dzi się na cztery. Oddała się o 100 kroków, wyciąga nowy „autograf” Napoleona, rozpoczyna tę samą komedię z następnym.

Albo kupujesz od „poety” o rozczochranych włosach i olbrzymim czarnym krawacie jego poemat oryginalny.

To prawda. W Wenecji nikt nie żebrze. I zrynajmniej nie o centesimi. Po straszliwie surowym zakazie i pierwszych głupich setkach ofiar, zmieniła się maska, jest dostojniejsza, bardziej budząca zaufanie, wymyśliła sobie inny sposób, tysiącrotnie podnoszący zyski. — Gdzie wieczorny bilans wykazywał dotychczas zaledwie jakiś tuzin lirów, obecnie, mimo wzmogionych kosztów na przyzwoite ubranie, fałszerstwo autografów i t. p. przynosi banknocik jakiś 50-lirowy.

To jest jeden z obrazków moralności faszystowskiej. Zewnętrzny blichtr, ale zbrodnica beztroška i zdemoralizowane, leniwe lub nie szczęśliwe szeregi włoskich lazzaroni.

jacka wprowadziła zwyczaj picia czekolady na pierwsze śniadanie. Za przykładem monarchini poszedł cały dwór i słodki przysmak rychło stał się popularnym.

Radio w Ameryce.

Radio w zastosowaniu użyteczności dla ogółu znajduje wśród mieszkańców Ameryki prawie tak duże rozpowszechnienie, jak... gramofony; trudno sobie bowiem wyobrazić dzisiaj mieszkanie przeciętnego „yankesa”, nie zaopatrzone w gramofon, lub — zależnie od stanu zaamożności — pianole.

Na tle masowej konsumpcji radio (o ile tego rodzaju określenie jest dozwolone) zaczyna się wyłaniać szereg zagadnień; i tak ktoś z notorycznych zwolenników głębokich dociekań z dziedziny problemów psychologicznych zastanawia się nad rozwiązaniem zasadniczej kwestii: „Czem zajmowałby się ludzkie doświadczenie w godzinach wieczornych, gdyby nie było radia?”

Radio jest rozrywką i kształcąca i miła, a przedewszystkiem urozmaicona, gdyż całokształt programu obejmuje, poza częścią odczytową i muzyczną, różnorodne tematy z chwili bieżącej.

Nastawiając aparat odbiorczy na odpowiednią, codziennie w prasie wskazaną kombinację liter, można począwszy od uczestniczenia w koncercie symfonicznym i wysłuchania mowy znanego działacza społecznego, odczytu o imigracji, śpiewu sławnego tenora, wykładu z cyklu „gospodyni i kuchnia”, zakończyć mile spędzony wieczór na upajaniu się harmonią tonów orkiestry murzyńskiej, przygrywającej w dancingu na jazzbandzie.

Przy pomocy radio można brać lekcje obcych języków, wskutek systematycznego podawania czasu regulować zegarek — dowiedzieć się o wynikach wyborów, lub wyroku, wydanym na głośnego mordercę.

Entuzjaści zastosowania radio dla domowego użytku są zdania, iż koncerty na estradach, w obliczu zapelnionych publicznością sal znikną z powierzchni ziemi, ustępując miejsca garstce wirtuozów, grającej dla całego świata jednocześnie, za pośrednictwem radio.

Mniej entuzjastycznie usposobie ni wyrażają natomiast przekonanie że tak jak fotografie nie zdołały uczynić konkurencji malarstwu, a gramofony artystycznym produkcjom muzycznym, tak i radio nie przekroczy granic, w których zakresie mieści się jego bezsprzecznie wielka użyteczność.

KOSZULE

w wielkim wyborze kołnierze, krawaty, skarpetki jak również wszelkie artykuły oody męskiej polica

K. Petersilgo

10 Piotrkowska 98

Dr.

A. S. Tenenbaum

Wólczańska 4

Chor. wewnętrzne

Przyjmuje od 5

i pół do 7 wiecz

340-3

Europa w 1967 roku.

Katastrofa w Paryżu. — Potwory, które przybyły z Marsa. — Walka z Żotaurami. — Podziemny Paryż. — Powrót na ziemię. — Pola magnetyczne. — Ludzkość uratowana.

Rosyjski Jules Verne, autor fantastycznych powieści N. Tassin, wydał obecnie książkę p. t. „Katastrofa”. Treść tej książki, tłumaczonej na wszystkie języki jest następująca:

W nocy 27 marca 1967 r. Paryż stanie się widowiskiem strasznej katastrofy. Na miasto napadną olbrzymy, nieznane dotąd nikomu potwory. Wiele domów będzie zniszczonych, zginą tysiące ludzi. — Ludność całą ogarnie nieopisana panika. Członkowie paryskiej akademii nauk zbiorą się na naradę i stwierdzą, że potwory przybyły na ziemię z Marsa i nazywają się żotaurami. Ze wszystkich krajów Europy zaczynają nadchodzić radiotelegramy o pojawieniu się żotaurów, które czynią szalone spustoszenia. Następną nocą w Paryżu napad potworów powtarza się. Z prowincji nadjeżdżają oblężeni ze strachu ludzie. Życie zamiera, przemysł i handel są unieruchomione, wszelka praca ustaje, grozi powszechny głód. Pewnej nocy jeden z żotaurów, których oczy są promieniami świetlnymi, spada na wieżę Notre Dame. Promienie jego oczu gasną i słacza się na ziemię nieżywy. Nazajutrz rano cały Paryż ogląda żotaura, a członkowie akademii robią nad nim studia. — W jakiś czas rochoodzi się wieść, że ulubieniec paryżan słoń Toni, został porwany przez potwory, a radiodepesza donosi, iż znaleziono zwierzę w odległości 33,000 kilometrów od Paryża. Przestrzeń tę przeleciały żotaury w ciągu jednej godziny.

Komisja uczonych ustala, że promienie świetlne, które padają z oczu potworów mają moc niszczenia i zabijania wszystkiego co napotkają na swej drodze. Grożą one zupełnym zniszczeniem ludzkości.

Na propozycję prezydenta Stanów Zjednoczonych zwołana zostaje do Paryża międzynarodowa konferencja dla naradzenia się nad sposobami walki z żotaurami. — Czynione są próby unieszkodliwienia ich za pomocą bomb zatrutych bakcyliami. Próby jednak nie odnoszą rezultatu.

Wówczas amerykański inżynier proponuje zbudowanie miasta podziemnego. Powstaje więc na setki metrów pod ziemią nowy Paryż z domami, sztucznymi ogrodami i sztucznym słońcem.

Ludność zamieszkuje pod ziemią, czuje się jednak bardzo źle, bez powietrza, słońca, wiatru i deszczów. Część mieszkańców wraca z powrotem na powierzchnię ziemi i pada ofiarą żotaurów.

W tych tragicznych chwilach pojawia się francuski uczyony Grandidier i proponuje utworzenie w wielu punktach Europy pól magnetycznych. Pierwsze takie pole założone jest w Paryżu. Pola te mają własność ściągania żotaurów i zabijania promieni w ich oczach, co pozbawia ich siły i życia. Próba udaje się znakomicie. Każdy żotaur, który dostaje się w sferę pola magnetycznego ślepnie i pada nieżywy. W Paryżu nieopisana radość. Grandidier umiera ze szczęścia. W całym świecie powstają pola magnetyczne, wszystkie żotaury są zniszczone. Życie w Europie przybiera znowu normalny wygląd. Odżywa handel i przemysł, wrę gorączkowa praca. Powszechna radość zapanowała wśród ludzi.

Tajemniczy mord.

Ohydnego zbrodnego mordu, przypominającego szczegółami słynne zamordowanie członków rodziny młynarza Regla w Skolimowie pod Warszawą, dokonano onegdaj nocy we wsi Polkach gminy Pachalich (woj. łomżyńskie). Niewykryci zbrodniarze dokonali napadu na mieszkanie młynarza Elauta, gdzie zamordowali cztery osoby: gospodarza 60-letniego Leopolda Elauta, służącą jego, 16-letnią Leokadę Koszykowską ze wsi Modzeli Star., młynarczyka, 18-letniego Edwarda Józiaka i

chłopca na posługi w młynie 16-letniego Piotra Nadzelewskiego ze wsi Modzeli Skudoszy.

Wszyscy zamordowani posiadają rany postrzałowe zadane w tył głowy z rewolweru. Urządzenie mieszkania młynarza zdemolowano. Jest wrażenie, że rabunek uporzeczono, ponieważ rzeczy i papiery są rozrzucone, bezpotrzebnie powyrywane drzwi od szafy, która była otwarta, blat ze stołu zerwany.

Istnieje przypuszczenie, że była to zemsta osobista.

ALBERT JEAN.

Mucha.

— Kocham cię, Klotyldo — szeptał Daniel Hely ujmując delikatną dłoń pani Crespieres.

— I ja też — odrzekła młoda kobieta.

Daniel pochylał się nad nią i patrzył długo w jej błyszczące, kuszące źrenice. Wdychał lekki zapach jej perfum, a serce drżało mu z pożądania.

— Jedźmy razem, wyjedźmy — szeptał.

Ale ona oswobodziła nagle swą rękę i rzekła stanowczo:

— Nigdy!

Daniel aż uniósł się ze zdziwienia.

— Dlaczego, Klotyldo? Skoro mnie kochasz?

Spuściła głowę. W salonie zapanało milczenie.

— Dlaczego? — powtórzył cicho Daniel.

Spojrzała na niego. Wzrostka miłość, która przepełniała jego serce, wznosiła się w jasnych źrenicach. Walczyła... Bo jakże mogła pójść za głosem serca skoro obowiązki nakazywały wytrwanie przy mężu i ognisku rodzinnym.

— Nie wyjadę z panem, bo nie

umiałabym skrzywdzić Hieronima.

— Mąż? Przecież pani go nie kocha? Kobieta taka, jak pani, nie może kochać dwóch mężczyzn. Przecież dopiero przed chwilą powiedziałaś, że kochasz mnie?

— Miłość do męża nie ma nic wspólnego z przywiązaniem do ogniska domowego — odrzekła łagodnie.

A on zrozumiał w tej chwili, że kobieta ta może mu się wydłgać z rąk, że pozostanie sam ze swą miłością, jak złodziej, który uniósł swój skarb na beznadziejną pustynię.

— Ognisko domowe! — powtórzył. — Ja gotów jestem stworzyć pani nowe ognisko domowe!

Ale ona pochylała tylko głowę, a usta jej zacięły się w upartym uśmiechu.

— Hieronim jest dobry — szeptała — i dobroć wywyższa go ponad wszystkich ludzi. Dobroć ta broni go i czyni zeń istotę nietykalną. Znalazłabym może dosyć odwagi, by walczyć z człowiekiem złym, lub brutalnym... Ale z Hieronimem, który jest tak dobry, tak sprawiedliwy... Czy pomyślał pan już kiedyś o tem, jakim było życie tego człowieka? W ciągu pięciu lat naszego małżeństwa był dla mnie wzorem męża. Czyż mogłabym go zdradzić? Opuścić?

Teraz Daniel z kolei opuścił głowę.

Cóż mógł ofiarować tej ukochanej kobiecie?

Hieronim górował nad nim pod każdym względem.

W tej chwili Hieronim wszedł do salonu.

— Jesteś tu, Danielu! — zawołał. — Jestem szczęśliwy, że mogę ci powinszować. Czytałyśmy w pismach o twoim nowym wynalazku. To będzie poprostu rewolucja w przemyśle samochodowym. Winszuję ci z całego serca!

— Jesteś zbyt dobry — odparł młody człowiek.

— No i naturalnie pójdziesz z nami na obiad? — prosił Hieronim.

— W takim razie niech to będzie obiad uroczysty — zawołała Klotylda — pójdziemy do restauracji!

Pojechali we troje. I zasiedli przy stole biesiadującym we troje, jako żywa ilustracja znanej figury z geometrii małżeńskie.

Dokoła rozbrzmiewały tony muzyki. Kilkanaście par krążyło pomiędzy stolikami. W powietrzu unosił się zapach pudru, perfum i potraw. Klotylda miała dziwny ucisk w sercu i patrzyła smutnie na rozbawioną publiczność.

— Trzeba ją jakoś wysuszyć — rzekła Klotylda i swą koronkową

złote wino południa skrzyło się w kryształowej karafce.

— Czy wolno mi nalać pani wino — rzekł Daniel, pochylając karafkę nad kieliszkiem.

Na powierzchni złotego płynu widniał ciemny punkt — była to mucha.

Owad płynął po złotej powierzchni wina i instynktownie wsiąknął cienkimi nóżkami, a całe ciało to starało się frunąć, jakkolwiek skrzydełka były zmoczone i bezwładne.

Daniel skinał na kelnera, ale Klotylda położyła rękę swą na jego ramieniu.

— Niech pan pozwoli, że uratuję muchę — prosiła.

Daniel nachylił karafkę i mucha wpadła do kieliszka młodej kobiety.

Owad dał nurka, a potem znów wypłynął na powierzchnię płynu. Wtedy Klotylda podała mu ostrze swego nożyka owocowego i mucha uczepiła go się wszystkimi łapkami.

Zachowując jaknajwiększą ostrożność Klotylda postawiła muchę na serwecie.

Biedny owad włożył się pośród płatków róży i kryształów, ciągnąc swój zmoczony brzuch i sklejone skrzydła.

— Trzeba ją jakoś wysuszyć — rzekła Klotylda i swą koronkową

chusteczką poczęła ostrożnie wycierać skrzydełka i tułów owadu.

Po chwili już mucha poczęła przychodzić do życia, oczy się obracały na wszystkie strony, a ciało nabrało siły.

— Pofrunieł — cieszyła się młoda kobieta.

Ale mucha nie pofrunęła.

Istnieją odruchy i gesty, których nie można opanować, które wypływają pomimo woli na powierzchnię. Są to gesty odziedziczone, gesty, które najlepiej malują naszą jaźń.

Hieronim Crespieres uczynił taki gest: podniósł pięść i zabił nieśczęsną muchę, która pełzała po serwecie.

A potem roześmiał się i poklepał zębem ramienia.

Ona patrzyła na niego z osłupieniem i niesmakiem.

Więc nie był dobry?

Więc był takim zwykłym sobie człowiekiem, który umiał nawet być brutalnym?

Więc to był jej mąż, jej bożyszcze od tylu lat?

— Gdy Hieronim odwrócił się, by zapłacić rachunek, Klotylda pochylała się do Daniela i szeptała:

— Pojadę z tobą dokąd tylko zechcesz!...

(Tłumaczyła Et.)